

Antygonka w Nowym Yorcuku

Solidnie się nagłowiłem, o czym by tutaj na zakończenie sezonu napisać. O ostatnich premierach? Ale o których? Za pięć dwunasta sypnęło nimi w Krakowie jak nigdy! Napiszę o jednej tylko — reszta zaraz gotowa się obrazić. Napiszę o wszystkich w osobnych recenzjach — to przecież i tak nikt o zdrowych zmysłach nie będzie tego czytał w wakacje. Podsumowanie sezonu przyda się, jak sądzę, ale bardziej na początku następnego, niż teraz. Jako wielki kubał zimnej wody. Dla opamiętania. A poza tym, co tu dużo kryć — większość nowych propozycji ostatnich dni Czerwca grana była na walizkach. Dwa, trzy razy — i na Mazury! Lepiej więc chyba poczekać na spokojniejsze czasy, na Wrzesień. Słowem — pat. I pewnikiem niewiele bym wymyślił, gdyby nie Janusz Głowacki. Najpierw napisał nową sztukę „Antygonka w Nowym Yorku”, po czym osobiście zjawił się na warszawskiej prapremierze. No i wydarzenie sezonu gotowe! Rzecz wyreżyserowała Izabella Cywińska, zagrała śmietanka aktorów z Warsztatem Bez Granic, po czym, właśnie na zakończenie sezonu, zjechali na gościnne występy do Teatru Bagatela. Niestety już bez Głowackiego. Myślę, że nawet bez Głowackiego powodów jest aż nadto, aby pisać właśnie o spektaklu Teatru Ateneum. Są oczywiście powody, jest i plotka. Oto jednym z gwoździ jubileuszowego sezonu sceny przy pl. św. Ducha ma być właśnie premiera „Antygony...”. Jeśli to prawda, to

moje pisanie ma szansę zahaczyć o niedaleką przyszłość. A nuż cokolwiek pomoże? Oby.

Oczywiście przed spektaklem sztuki nie przeczytałem. Jestem wyznawcą akurat tej szkoły, która naucza, że nie należy tego czynić. Niechaj sztuka teatru broni się sama, bez podpórek. Tak więc „Antygony...” nie przeczytałem programowo, natomiast przypomniałem sobie felietony Głowackiego — w nich właśnie dokopałem się takiej oto myśli: „Być może u źródeł narodzin aktorstwa Jana Himilsbacha leżało nade wszystko to, iż byliśmy do granic wytrzymałości zanudzeni doskonałością i kunsztem Polskiej Szkoły Aktorskiej z jej Warsztatem Bez Granic. »Ja ci, stary, zagram nawet krzesło« — obiecuje pewien znakomity artysta i, co gorsza, można mu zaufać”. No właśnie. Na domiar złego owe możliwości wcale na krzesła się nie wyczerpują. W ostateczności taki aktor z Warsztatem Bez Granic jest w stanie nie zagrać niczego — oczywiście poza swoją maestrią. Przyznam się, iż takiej perspektywy z lekka się przestraszyłem, owej pustej raczej wirtuozerii. Przestraszyłem się tym bardziej, że był ku niej wyraźne przesłanki. Z jednej strony role bezdomnych żyjących w jednym z parków Manhattanu (tyle już wiedziałem przed lekturą), z drugiej aktorzy — Fronczewski, Michałowski i Ciunelis — aktorzy, którzy mogą zagrać wszystko... Opanowałem się jednak dosyć szybko. Skoro — pomyślałem — Cywińska

wzięła się za „Antygonę...”, to musi przećnieć także i inne pisma Głowackiego, a skoro tak, to zna też felietony, zatem i ten o Himilsbachu. Czyli zna ów fragment. Wszystko więc jest w porządku — wie, iż takiego dajmy na to Fronczewskiego należy popychać w stronę Himilsbacha właśnie, a nie w pobliże jakiegoś Paganiniego aktorstwa — przynajmniej w tym konkretnym przypadku.

Srodcie się pomyliłem. Cywińska nie zna tekstu „Jak być kochanym”. Z tekstu Głowackiego pozostaje czysta anegdota, szkielec — owszem, po mistrzowsku skonstruowany, pokazany z dużym wdziękiem, ale niestety tylko dwuwymiarowy. Z tragikomedii, a tym przecież jest „Antygonka...”, pozostaje dziwny przekładaniec — raz komedia, raz tragedia. Żadnej jednoczesności. Gdy się śmieją, to jak u Fredry, gdy idzie na noże, to jak u Szekspira. Ani jedna lza nie jest podszyta chichotem, uśmiech nigdy nie zamiera na ustach. Czarne, białe, czarne, białe, czarne... Skończyło się na czarnym — czyli źle. Pisałem już kiedyś na tych łamach dokładnie na ten sam temat. Tym razem jednak konsekwencje nieporozumienia są daleko poważniejsze. Otóż, owo wewnętrzne pęknięcie daje dosyć dwuznaczny efekt. Mianowicie, spiralę absurdu nakręconą przez Głowackiego ogląda się jak cenny eksponat za pancerną szybą — daleki i egzotyczny. Niegroźny. Na tę smutną przecież i tak ludzką opowieść pa-
trzymy z komfortowych pozycji nietykal-

ności. Na inne spojrzenie nie dano nam szansy. Wstajemy więc i odchodzimy do domów wzdychając tylko co i raz: „Ach, ten Fronczewski, ten Michałowski, ta Ciunelis — Paganini po trzykroć!” Odchodzimy tym spokojniej, że świat dopiero co obejrzany już właściwie nie istnieje. Problem homlesów w Tompkins Square Park został bowiem definitywnie rozwiązany. Saszy (Michałowski), Pchełce (Fronczewski) i Anicie (Ciunelis) pozostaje jedynie scena. Przynajmniej to można było spróbować powiedzieć. Niestety. Pozostała precyzja, większa lub mniejsza maestria, ogrywanie rzeczywistości, każdego detalu, wypełnianie jedynie swojego tu i teraz. Gdybym przeczytał tekst przed, mógłbym przynajmniej wyjść po dziesięciu minutach. A tak — zniszczyła mnie ciekawość. Wysiedziałem do końca.

Głowackiemu, jak sądzę, chodziło o coś grubo poważniejszego, niż o swój kamysek do ogródka „Oto Ameryka”. Chodziło o „wszędzie i zawsze”. Że Pchełka to polaczek-cwaniaczek, a do tego głupkowaty, równie mało znaczy jak to, że Sasza to stary, mądry Żyd rosyjski, i do tego artysta. Czy w obrazie Anity zmienia coś fakt, że jest akurat portorykańską wariatką? Zupełnie nic. Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie idzie mi o to, aby popaść w drugą skrajność, w jakowyś suchy moralitet — nie jestem żadnym smutasem i śmiać się lubię, dlatego zapewne wybrałbym to, co widziałem — Fronczewskiego — Pchełkę, a nie Fronczewskiego — Eve-

rymana. Idzie mi o sam środek, o to, aby świat Głowackiego nie był ani tylko o tym pierwszym, ani tylko o drugim. Idzie o taki świat, w którym wszystkie skrajności śmiesz, albowiem nie istnieje żadna skala wartości, na której można by je rozpiąć. Idzie o świat, w którym każdy fakt ma równą wartość, właściwie najwyższą — potwierdza twoje istnienie. But narcyjski, denaturat, smród, miłość, nienawiść, groteskowy pochówek przyjaciela, nowy kapelus, stare buty — wszystko jest tym samym. Ukłuciem igły — krzyk oznacza, że się jeszcze żyje.

Jak ten świat na scenie zbudować? Jak doznać w niego głębszą prawdę? Jak dokopać się do tego trzeciego wymiaru? W pewnym momencie Polak przypomina Żydowi, że na jednej ławce egzystują obok siebie już 5 lat. Może właśnie o te pięć lat chodzi? Aby je wsączyć w każde słowo, każdy gest, każdą sekundę? Może o to idzie, aby wykreować ich monotonną, dyskretną, nieubłaganą obecność? Istnieje oczywiście problem zasadniczy. Czy mianowicie sztuka Głowackiego jest w stanie udźwignąć te pięć lat? Ale to już zupełnie inna historia.

PAWEŁ GŁOWACKI

TEATR ATENEUM im. S. Jaracza w Warszawie.
JANUSZ GŁOWACKI: „Antygonka w Nowym Yorku” reż. IZABELLA CYWIŃSKA, scen. Jerzy Juk Kowarski. Występy gościnne w TEATRZE BAGATELA W KRAKOWIE

TEATR